

KOMENTARZ Bożeny Szarej w audycji 8 października 2017

JĘZYK NIEPOLITYCZNY CZYLI JAK MÓWIĄ POLITYCY

Słowami zarabiają na poparcie, a poparciem na życie. Kiedy zaliczają językowe wpadki lub rzucają „mięsem”, dodaje im to podobno „pierwiastka ludzkiego”. Niestety, niektórzy bywają ludzcy ponad miarę. Politycy przeklinali zawsze, w końcu to tylko ludzie, więc nie można od nich wymagać niemożliwego. Sami jednak niechętnie się do tego przyznają.

- W prywatnych rozmowach bywa różnie z językiem polityków. Są tacy, którzy znane słowo na „k” traktują jako przerywnik. Chociaż, oczywiście, w publicznej debacie nikt nigdy tego nie powie – mówił kilka lat temu „Newsweekowi” senator Marek Borowski.

No cóż, opinia pana senatora jest już nieaktualna, bo rzucanie mięsem na polskiej scenie politycznej jest codziennością. Wiązanki przekleństw i różnego rodzaju inwektyw to wręcz norma. Parlamentarzyści, politycy i działacze polityczni przeklinają w mediach, na spotkaniach z wyborcami, na wiecach, w internecie, no i oczywiście w Sejmie i Senacie w sposób urągający kulturze wypowiedzi i kindersztubie, bo zwykle klną mężczyźni. Słyszymy więc o zdradzieckich mordach, kanaliach, upośledzonych gnomach, gnidach, idiotach, kretynach, nie mówiąc już o nieco mniej złośliwie brzmiących nieukach, lizusach, złodziejach czy zdrajcach.

Andrzej Lepper przed laty zapowiadał, że Wersal w Sejmie się skończył, ale myślę, że polityk wtedy miał coś innego na myśli. A tak niedawno jeszcze, zaledwie kilka lat temu, cała Polska oburzała się na niewinne: Spieprzaj, dziadu!. Czasy się definitywnie zmieniły. Teraz im ostrzej i dosadniej tym lepiej i to z każdej strony sceny politycznej.

Często zastanawiam się nad celowością wulgaryzmów w debacie publicznej. Czemu to ma służyć? Przypodobaniu się luzackiej części elektoratu? Bycia cool?

A może chęcią zaistnienia w przestrzeni publicznej za wszelką cenę? Przysłuchując się uważnie kiepskim argumentom tych pozał się boże trybunów, coraz częściej dochodzę jednak do smutnego wniosku, że wulgaryzmy to przykrywka dla ich wątpliwych przekonań i bezwartościowych projektów.

Innego zdania, łagodniejszego niż moje, jest językoznawca prof. Jerzy Bralczyk, który uważa, że przekleństwa należą do wyposażenia polityków, kiedy ci chcą postawić na wyraziste formułowanie swoich myśli.

Inny naukowiec, politolog i specjalista od marketingu politycznego prof. Piotr Pawełczyk z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu twierdzi, że inaczej traktujemy wulgaryzmy w ustach polityków, których znamy i cenimy, a inaczej, kiedy wypowiadają je politycy, których nie darzymy ani sympatią, ani szacunkiem.

Trudno jest mi nie zgodzić się z powyższą opinią, zwłaszcza, że w miniony poniedziałek miałam okazję naocznie, a właściwie "nauszenie" przekonać się o prawdziwości jego teorii.

1 i 2 października montrealscy Sympatycy Idei Narodowych zapraszali Polonię na spotkanie z Marianem Kowalskim – polskim działaczem politycznym, felietonistą, byłym wiceprezesem Ruchu Narodowego oraz kandydatem na urząd Prezydenta RP w wyborach w 2015 roku.

Na spotkanie z gościem z Polski wybrałam się w poniedziałek. Zupełnie otwarcie muszę przyznać, że niezbyt często oglądam program telewizji internetowej IPP czyli "Idź po prąd" gdzie w programie na żywo, panowie Kowalski i Chojecki komentują bieżące wydarzenia.

Być może obydwaj mieliby we mnie wierniejszą tele-widzkę, gdyby nie język, którym posługuje się Marian Kowalski w tym programie. Język dla mnie nie do przyjęcia.

Udając się na spotkanie miałam cichą nadzieję, że będzie ono pozbawione ozdobników językowych, które powszechnie uważa się za wulgarne i knajackie. W końcu spotkanie twarzą w twarz z publicznością to nie to samo co przez zimną szybę monitora telewizyjnego czy ekran komputera. Moje nadzieje okazały się jednak płonne, bo prelegent podczas całego wieczoru kłął jak szewc nie przebierając w słowach ku ogólnej aprobachie licznie zgromadzonych słuchaczek i słuchaczy. Nikt z zebranych nie protestował. Naiwnie liczyłam, że może organizatorzy jakoś zareagują, że dyskretnie zwrócą mu uwagę, ale niestety, myliłam się. Po pierwszej części spotkania podjęłam dość heroiczną i stanowczą próbę zadania gościowi pytania na temat jego niecenzuralnego języka, ale organizatorzy i sam prelegent równie stanowczo odpowiedzieli, że porządek musi być i najpierw będą odpowiedzi na pytania z sali spisane na kartce, a dopiero później, jeśli wystarczy czasu, dopuszczą mnie do głosu. Chyba nie muszę dodawać, że druga część wieczoru była równie kwiecista jak pierwsza, a słowa na "k", "p" i "d" krążyły po sali przy pełnej aprobachie zgromadzonych.

No cóż, wszak zgodnie z opinią naukowca z Poznania, pozytywnie traktujemy wulgaryzmy w ustach polityków, których znamy i cenimy.

Gdy wreszcie mogłam wyrazić swoją opinię na temat nieparlamentarnego języka jakim posługiwał się gość wieczoru, w odpowiedzi usłyszałam, że ważniejsza jest przecież treść, a nie forma. No i jeszcze to, jak wytłumaczył mi sam zainteresowany, jego impulsywny sposób wyrażania się jest podyktowany jego wybuchowym charakterem, on sam podczas wystąpień nie specjalnie kontroluje swoje emocje, jest prostym człowiekiem i właśnie jako taki w ten szczególny sposób trafia do ludzi jemu podobnych, spragnionych prawdy, a ta przecież jest najważniejsza. Aha i jeszcze ktoś z publiczności rzucił, że oczywiście przesadzam, bo przecież wielki Polak marszałek Józef Piłsudski też ciskał przekleństwami jak nie przymierzając furman, a kochał go cały naród. Moje wątpliwości co do niecenzuralnego języka gościa wieczoru poparły tylko dwie panie, a gros zebranych potraktowała mój głos wzruszeniem ramion.

W zasadzie nie powinnam się dziwić reakcji, a właściwie brakowi reakcji, zgromadzonych pań i panów na grube słowa prelegenta, bo statystyki brutalnie mówią, że do przeklinania przyznaje się już prawie 80 proc. Polaków, a z roku na rok ten odsetek jest coraz większy. Wulgaryzmy możemy usłyszeć już prawie wszędzie i to nie tylko w Polsce. Badania wskazują, że przekleństwa panoszą się najczęściej właśnie w przestrzeni publicznej. Na ulicy, w sklepach, podczas różnego rodzaju wydarzeń sportowych styka się z nimi niemal dwie trzecie badanych, a czasami nawet co czwarty mieszkaniec Polski. Według CBOS Polacy niemal powszechnie mają poczucie, że używanie wulgaryzmów jest wbrew obowiązującym normom. Ponad dziewięć na dziesięć badanych deklaruje, że razi ich, gdy inni używają słów niecenzuralnych, przy czym połowę tej grupy razi to zawsze, a drugą połowę w zależności od sytuacji, w której te słowa padają. Co jedenasty respondent twierdzi, że jest przyzwyczajony do przekleństw i nie razi go one wcale.

Zostawmy jednak statystyki i wróćmy do spotkania z Marianem Kowalskim. Nie zamierzam polemizować z тезami zaprezentowanymi przez prelegenta podczas spotkania, ale miałam do niego dużo żalu nie tylko o niecenzuralny język, ale także za prześmiewcze potraktowanie feministek, na temat których nie ma bladego pojęcia i wygaduje bzdury poniżając kobiety. Jego wielkim nietaktem było również szydzenie z profesor Magdaleny Srody, której oberwało się nie za poglądy, ale za wygląd. Profesor Sroda jest etykiem i wykładowcą uniwersyteckim, filozofem, publicystą, doktorem habilitowana nauk humanistycznych, profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią idei etycznych, etyką stosowaną, filozofią polityczną i feministyczną oraz problematyką kobiecą. Jest uznanym na świecie naukowcem i działaczem społecznym.

Kim jest pan Marian Kowalski? Czy ktoś na świecie kojarzy go z jakimiś wartościami? A może jest związany z jakimś środowiskiem uznanych autorytetów? No chyba nie. A może się mylę? Może coś mi umknęło? Kto i kiedy dał mu mandat do publicznego wyszydzania i kpienia z osób powszechnie szanowanych i cenionych?

Na zakończenie mojego komentarza chciałabym zaapelować do wszystkich, którzy tak chętnie i bez zastanowienia oceniają aparycję i wygląd kobiet. Szanowani Panowie! Jeśli kiedykolwiek poczujecie potrzebę skrytykowania kobiecej figury lub jakiegokolwiek innego aspektu jej urody, bądź jej braku, to proszę przyjrzyjcie się sobie w lustrze i upewnijcie się uprzednio, że jesteście Bradem Pit'em albo Georgiem Clooney.

Aha... i jeszcze jedno. Pozwolę sobie przypomnieć wszystkim apologetom wulgaryzmów, że wg polskiego prawa, zgodnie z artykułem 141 Kodeksu Wykroczeń, każdy kto w miejscu publicznym używa nieprzyzwoitych słów, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 zł. albo karze nagany.